



Morderstwo w Pradze

Margota Kott

Tytuł: Morderstwo w Pradze
Copyright © Margota Kott 2021
All rights reserved
Wydanie II © Wydawnictwo Ezooneir.com 2023

ISBN E-BOOK 978-83-67459-25-9

Wydawca:
Wydawnictwo EZOONEIR.COM

Miłośnikom piwa i czeskiej literatury

Margota Kott

„A więc takie są szczyty naszych tajemnych rozkoszy?”

Vladimír Páral

PROLOG

Łzy przesłaniają mi świat. Nawet nie staram się ich wytrzeć. Nie wstydzę się, że płaczę. Siedzę jak kukła na twardym krześle, w hallu posterunku policji. Jestem odrętwiała, a łzy płyną i nie mogą przestać. Ktoś coś mówi, nic nie rozumiem, przesuwiają się jakieś cienie obok mnie, a ja siedzę samotnie i płaczę.

– Moja droga! – Chlipię, choć wiem, że ona już mnie nie usłyszy. Nigdy. Już nigdy. Zwieszam głowę, a łzy ciekną mi po policzkach, po brodzie, kapią na kolana. Żałość, która mnie ogarnia jest wielka i mam wrażenie, że zaraz mnie zadusi. Na śmierć. Może byłoby lepiej – myślę, litując się nad sobą.

Po tym co się stało, odechciewa mi się żyć. Słyszę głosy i kroki, ale nie zastanawiam się nad tym. Docierają do mnie jak przez mgłę, albo kłębki waty nasączone eterem. Czuję się uśpiona, niewrażliwa na świat. Zamknięta w bańce własnego bólu i żalu nie do zniesienia. Dookoła cienie wydłużają się i maleją, trzaskają drzwi. Nie wytrąca mnie to jednak z odrętwienia. Po prostu siedzę i trwam.

Rzadki śluz spływa mi z nosa. Ocieram go machinalnie rękawem. Cienie gęstnieją, przybliżają się, osiadają na mojej twarzy. Dostrzegam je przez półprzymknięte powieki. Chciałabym zasnąć i już się nie obudzić.

W ciszy. Zasnąć...

Nagle z odrętwienia wyrywa mnie ból. Monstrualna szarość przesłania mój świat. Ktoś szarpie mnie za rękę, podnosi do góry.

Mam wrażenie, że wyrywa mi bark. Z głębokiego, rozedrganego cienia wypełniają słowa złe jak węże. Ich jad sączy się w moje uszy. Nie rozróżniam słów, czuję jednak, że ranią.

Ponowne szarpnięcie przywraca mi wzrok. Otwieram oczy. Łzy wysychają w jednej chwili. Widzę nad sobą dłonie z rozczapierzonymi palcami i dziką, pełną nienawiści, czerwoną twarz.

– Tak musi czuć się królik, którego dogonił lis. – Myślę bez sensu, a zaraz potem tracę dech. Uginają się pode mną kolana, gdy uderzam plecami o ścianę. I kiedy już myślę, że upadnę, silne ręce podrywają mnie nagle w górę i rzucają ponownie na ścianę. Jestem zdezorientowana. Jakby ktoś nagle wybudził mnie ze snu. Chcę rozejrzeć się wokół, ale nie mogę. Łapy potrząsają mną tak mocno, że aż podskakuje mi głowa.

– Co jest?! – Próbuję krzyknąć, jednak kolejny cios zabiera mi oddech. Dostaję w twarz. Zamiast smarków i łez, spływa mi po twarzy krew. Czuję ją pomiędzy rozchyłonymi wargami.

– Pomocy! – jęczę, lecz agresor nie ustępuje.

– Moja droga, moja droga – bełkoczę bełładnie, a wtedy on pluje mi w twarz.

– Gdzie ja jestem? Co się dzieje? – Mózg mam odrętwiały, a ciało odmawia posłuszeństwa.

Słabną mi nogi. Napastnik znów rzuca mnie na ścianę, a ja osuwam się po niej plecami. Brutalne zetknięcie z podłogą przywraca mi zmysły. Otrząsam się jak bokser na ringu po kolejnym ciosie. Próbuję wstać. Mam wrażenie, że nadlatują roje much. Ich brzęczenie przybliża się i dźwięczy głucho w mojej głowie. Słyszę podniesione głosy i widzę ręce, które odciągają ode mnie Złego. Przed oczyma migają mi policyjne mundury. Skulona leżę na ziemi. Czuję, że spadł mi jeden but. Moja torebka leży pod krzesłem. Wokół kłębi się tłum, który pacyfikuje mojego oprawcę.

Oddycham z ulgą nie wierząc, że to koniec.

– Marcel! – Słyszę podniesiony głos. – Není to ta dívka!¹

Tamten otwiera szeroko oczy, wyszarpując się dwóm policjantom, trzymającym go za ręce od tyłu.

– Ale ona mluvíla o drogách!² – Usprawiedliwia się napastnik coraz mniej agresywnym tonem.

– Ty idiote! – wrzeszczy tamten. – Není to ta dívka. Rozumíš?!³

Dopiero teraz zauważam bezczelną dziewczuchę, która siedzi na-przeciwko mnie. Przykutą kajdankami do krzesła. Patrzy i głupio się uśmiecha, jakby oglądała w kinie walkę na torty w slapstickowej komedii omyłek. A ten, którego nazwali Marcelem, nagle łapie się za głowę i czerwieni tak, aż widać wyraźnie każdy pieg na jego policzkach.

– Není to ta dívka – powtarza jak automat patrząc na mnie rozszerzonymi oczyma, a ja czuję, że nienawidzę jego i tego miejsca.

¹ To nie ta dziewczyna – tłum. autorki z j. czeskiego

² Ale ona mówiła o dragach – jw.

³ To nie ta dziewczyna. Rozumiesz? – jw.

HOTEL INTERNATIONAL

*„Może pozwolić, żeby ich w Pradze także
prześladował demon? Ależ tak. Mają pozwolić,
żeby prześladował ich demon.
W Pradze.”*

Michał Ajvaz, Sympozja



W Pradze zakochałam się od pierwszego dnia pobytu. Cudowne miasto! I wcale nie złote, tylko kolorowe. Żadna tam Złota Praga. Zanim dojechałyśmy z Olą na miejsce przeznaczenia, czyli do hotelu International w dzielnicy Dejvice, zobaczyłam już co nieco. Różnobarwne budynki mieniły się w lipcowym słońcu, a kolorowe tłumy przetaczały się przez praskie ulice. Pachniało radością, wolnością i przygodą.

– No to jesteśmy na miejscu, moja droga. – Ola wskazała ogromny gmach, który nagle wyrósł przed nami, wyglądając niczym Pałac Kultury i Nauki w Warszawie. – Witamy oficjalnie we śnie szalonego ogrodnika lub torcie Stalina, jak nazywają to gmaszysko rodowici prażanie!

– Co ty gadasz? – zdziwiłam się. – Jaki sen ogrodnika? Ola, poważna absolwenta bohemistyki na UJ-cie i takie żarty? To mi do niej nie pasowało.

– Oj, Paula! – Zmarszczyła kształtny nosek. – Na ten hotel tak mówią.

Przecież sobie tego nie wymyśliłam. I jeszcze nazywają go złośliwie Uniwersytetem Łomonosowa.

– No proszę, z uniwerku na uniwerok. – Wpadłam w jej żartobliwy ton. – Niby mamy już z nauką spokój, a tu kolejne zajęcia. Tym razem w szkole życia.

– Ten hotel stanowi przykład architektury stalinowskiej z lat pięćdziesiątych.

– Stałyśmy z walizkami na chodniku, podczas gdy Ola wcielała się w rolę przewodniczki po Pradze. Odwiedzała już stolicę Czech kolejny raz, więc przychodziło jej to bez trudu. – Budowla ta jest kombinacją architektury radzieckiej z elementami art deco i stanowi inspirację czeskim folklorem.

Podniosłam głowę do góry.

– Faktycznie. Czysty socrealizm – przytaknęłam, gdy w oczy rzuciły mi się monumentalne figury rodem z czarno-białych filmów propagandowych za czasów świetności ZSRR. Górowały nad wejściem do hotelu International, pośród łopotu flag. Opiewały sojusz robotniczo-chłopski i głosiły chwałę socjalizmu. Relikt przeszłości.

– Moja droga – ciągnęła Ola – dopiero w środku zobaczysz, jaki jest niesamowity. To ekskluzywny, czterogwiazdkowy hotel.

Nie wiedziałam czego się spodziewać po tym okazałym budynku. Co kryło się za jego ozdobną fasadą i wielkimi, oszklonymi drzwiami w złotych ramach? Pierwsze wrażenie zaparło mi dech. Po przekroczeniu progu, zobaczyłam wewnątrz do złudzenia przypominające to z filmu „Kevin sam w Nowym Jorku”. Rozglądałam się nawet, czy dzieciak z kultowego świątecznego hitu nie czai się gdzieś za marmurowymi kolumnami. Zapewne wrócił już szczęśliwie do domu. My natomiast dopiero zaczynałyśmy ekscytującą podróż. Hotel miał w środku wystrój retro i niepowtarzalną atmosferę luksusu. Marmury, jasne światła mlecznobiałych kinkietów i złożonych żyrandoli oszołomiły

mnie. Spodziewałam się bowiem raczej siermiężnego wystroju z lat pięćdziesiątych, ascetycznych i szarych wnętrz. Tymczasem przez całą długość korytarza ciągnął się czerwony dywan. Były nim wyłożone także pompatyczne schody prowadzące na górę.

– I jak ci się podoba? – zapytała Ola z uśmiechem.

– Pałacowy wystrój – podsumowałam. – Urządzony po prezydentku.

Klasa! Moja ekscytacja narastała. Przelewały się przeze mnie oceany szczęśliwości. Pomimo zmęczenia podróżą, ciekawa byłam każdego zakamarka tego dostojnego wnętrza. Zwiedzanie musiało jednak poczekać.

– Ciekawe jak będzie wyglądał hotelowy pokój? – pomyślałam.

– Nasz apartament mieści się na czternastym piętrze – poinformowała Ola, kierując się po załatwieniu formalności z recepcji do windy.

– To będą wakacje naszego życia – pomyślałam podniecona i oszołomiona miejscem, za które w dodatku nie musiałam płacić. – Istny dar losu. A raczej prezent od...

– Paula! – przerwała moje myśli Ola, wskazując otwarte drzwi od windy. – Wsiadamy Śpiąca Królewno. Nahoru! – rozkazała po czesku, nacisnęła guzik i winda posłusznie ruszyła.

Ulatywałyśmy w górę, niczym baloniki wystrzelone z katapulty. Ani się nie obejrzałam, a byłyśmy już na miejscu. Zanim wysiadłyśmy, Ola wskazała na rząd przycisków umieszczonych na jednej ze ścian windy.

– Zauważyłaś? – zapytała ściszym, tajemniczym głosem. Nie wiedziałam o co jej chodzi. – W tym hotelu nie ma trzynastego piętra. Po dwunastym jest zaraz czternaste. Taki mały trik odstraszaający pecha. Nic złego nie może się tu wydarzyć. Skłamałabym, gdybym po tych słowach poczuła coś wyjątkowego.

Piknięcie w sercu, strach chwytający za gardło, zimny podmuch wiatru. Nic. Nawet potem nie okłamywałam sama siebie, że tak było. Moja intuicja spała na dnie walizki i nawet nie mruknęła. Jednak bezwiednie powtórzyłam słowa Oli:

– Nic złego nie może się tu wydarzyć... – Zmęczona podróżą i natłokiem nowych wrażeń nie przywiązywałam do nich wagi. To były tylko słowa. Rzucone w przestrzeń rozplynęły się pośród marmurowych korytarzy i czerwonych dywanów.

W pokoju przywitał nas widok dwóch serc ułożonych artystycznie z płatków czerwonych róż na każdym z łóżek. Kicz, ale także sympatyczny. Jedną ze ścian ozdabiała gigantyczna, czarno-biała fototapeta przedstawiająca mosty Pragi.

Zaczęłyśmy się rozpakowywać w naszym apartamencie. To określenie z pewnością nie było na wyrost. Apartament miał metraż zbliżony do mojego mieszkania w Toruniu, w którym mieszkałam z mamą. Elegancko urządzone, z bezpłatną siecią Wi-Fi, płaskim telewizorem, na oko czterdziesto calowym, a także minibarkiem i zestawem do parzenia kawy lub herbaty. Żyć nie umierać!

Gwizdnęłam z zachwytu przez zęby a potem wyrzałam przez okno. Zobaczyłam zadbane ogród i obłędną panoramę Pragi. Faktycznie, nasz Tajemniczy Darczyńca postarał się oferując nam to, co najlepsze.

– Goście z pokoi o podwyższonym standardzie mają także dostęp do prywatnej strefy wypoczynkowej – rzuciła Ola mimochodem, jakby takie warunki znała na co dzień. Jeśli chciała mnie jeszcze bardziej zaskoczyć przepychem tego miejsca, to doskonale jej się to udało. W kącie salonu, ukryty za zasłonką,

stał sejf. Klimatyzacja działała, a przy okazji myszkowania po apartamencie odkryłam lodówkę, deskę do prasowania i żelazko.

– Super miejsce! – krzyknęłam podekscytowana w stronę Oli, która metodycznie wypakowywała zawartość swoich bagaży. Wieszala ubrania w równych odstępach w szafie wielkości małego pokoju. W literaturze i życiu liczy się przygoda i zabawa. Tako rzecze Michał Ajvaz. To chyba jedyne co zapamiętałam z informacji na temat literatury czeskiej, którymi Ola karmiła mnie przez cały okres studiów.

Miała istnego fioła na punkcie Ajvaza. Wszędzie zabierała ze sobą jego książkę „Morderstwo w hotelu Intercontinental” z okładką, która skojarzyła mi się z NRD-owskim domem publicznym. Przedstawiała dwie babeczki o długich nogach, założonych jedna na drugą. W tle widniał wysłużony dywan, telefax i rząd połączonych ze sobą krzeseł, jak w kinie. Wszystko szaro-bure, dziwaczne i do tego naznaczone piętnem socjalizmu. Chociaż biorąc pod uwagę czarne okulary i blond fryzurę a’la Classix Nouveaux, hmmm, no nie wiem... Teraz właśnie ta książka, nieodłączny towarzysz Oli podróży, opuściła torebkę i została z pietyzmem położona przez nią na nocnym stoliku.

Tak, miałam ochotę dobrze bawić się w Pradze. Co do literatury, to czytuję jedynie określony typ książek – kryminały i thrillery. Nie kojarzę, żeby którykolwiek napisał Czech. Nacięłam się na tę książkę ponieważ tytuł „Morderstwo w hotelu Intercontinental”, sugerował kryminał. Jakież było moje zdziwienie, gdy natrafiłam na pokręcone wiesze i jeszcze bardziej dziwaczne opowiadania. Z jakimiś waranami, kangurami, małżami i jaszczurami. Temu Ajvazowi chyba piwo zbyt mocno uderzyło do głowy. Nie tak wyobrażałam sobie czeską literaturę. Kojarzyłam ją raczej z wytwórnią śmiechu, czeskim, autoironicznym poczuciem hu-

moru, piwem, piwiarniami i tym swoistym podejściem do życia, trochę zamyślonym, a trochę cynicznym, bez przesadnego patosu.

Wysypałam zawartość walizki bezpośrednio na łóżko. Ola leciutko się skrzywiła, jednak wiedziała, że jestem niereformowalna. Taka już byłam. Zaczęłam niedbale wieszać wszystkie ciuchy, byle tylko móc jak prędkiej zanurzyć się w przygodzie. Pakowanie i rozpakowywanie jest takie nudne – pomyślałam.

Było mi żal każdej chwili. A tu nagle Ola, po której nie było widać wielogodzinnej podróży ani śladów nadmiernego podekscytowania, wyjęła deskę, żelazko i zaczęła odprasowywać swoje sukienki i bluzki.

– No nie! – zawołałam. – Teraz? Właśnie teraz musisz prasować? Ola, błagam!

– Moja droga – odpowiedziała spokojnie. – Porządek musi być. Zobaczysz ile czasu nam to potem zaoszczędzi. Sięgasz do szafy i już masz. A tak za każdym razem „wyciągaj sprzęt, rozgrzewaj żelazko”. To niepraktyczne!

Skrzywiłam się z rozczarowania, lecz nie miałam wiele do powiedzenia. Wycieczka do Pragi odbywała się dzięki Oli. Ja byłam jedynie osobą towarzyszącą. Grzechem więc byłoby narzekać. Kiedy już przeniosłyśmy nasz dobytek z waliz do szaf i komód, stwierdziłyśmy, że czas napić się kawy.

Mogłyśmy wprawdzie zejść do baru na dole, ale na razie nie byłyśmy jeszcze gotowe. Bez prysznic i poprawki makijażu nie chciałyśmy nigdzie się ruszać.

Kawa jednak, zamiast nas ożywić, spowodowała senność, i już za chwilę spałyśmy na miękkich, wygodnych łóżach w pachnącej, kolorowej pościeli.

Przebudziłam się w momencie, kiedy Ola wróciła z papierosa. Paliła wprawdzie nie te klasyczne, ale e-papierosy, jednak na terenie hotelu był całkowity zakaz używania wyrobów tytoniowych. Ignorując go mogłaby się narażać na konieczność uiszczenia dodatkowych opłat. Ola nie mogła się więc czuć tu idealnie swobodnie, ale przepisy to przepisy.

Ja na szczęście nie miałam tego problemu. Zresztą osoby pracujące przy produkcji piwa nie powinny palić. Zaburza to odczuwanie smaku, co u kiperów, albo technologów produkcji, jest niewskazane. Byłam więc wolna od tego nałogu i mogłam docenić każdy odcień, każdą delikatną zmianę zapachu i smaku piwa, na wszystkich etapach produkcji.

– Chodź – kiwnęła na mnie palcem Ola. – Oprowadzę cię po miejscu, które ma być naszym domem przez następne dwa tygodnie. Na to tylko czekałam. Ogarnęłam się szybko i opuściłyśmy pokój. Pierwsze wrażenie, które odniosłam przestępując próg Internationala, tylko się pogłębiło. Na każdym kroku bowiem znać było klasę i dbałość o detal.

– Czterogwiazdkowy hotel International jest narodowym zabytkiem Czech – objaśniała Ola. – Posiada główne centrum konferencyjne, mogące przyjąć naraz tysiąc dwustu gości. Sale konferencyjne należą do największych w Pradze.

Z przyjemnością oglądałam kolejne pomieszczenia pełne przepychu. Kto wie, kiedy nadarzy się podobna okazja?

– Hotel oferuje luksusowe zakwaterowanie w dwustu siedemdziesięciu ośmiu pokojach – kontynuowała. – Posiada doskonałe zaplecze gastronomiczne i wypoczynkowe. Goście mają do dyspozycji elegancką restaurację i bar w lobby, a także ogród, który pokażę ci potem.

Szczególne wrażenie zrobiła na mnie siłownia. Była podzielona na trzy części. Ta największa służyła do ćwiczeń wzmacniających całe ciało. Wyposażona została w najnowocześniejsze maszyny selekcyjne firmy Technogym. Obiecałam sobie, że w najbliższych dniach wypróbuję je wszystkie. Strefa cardio tylko czekała na klientów pragnących rozgrzać mięśnie. Mnóstwo osób korzystało tu z rowerów stacjonarnych, bieżni i stepperów. W tylnej części sali znajdowała się przestrzeń do cięższych ćwiczeń, pełna hantli o różnej wadze. Była też sala do aerobiku, z której okien widać było hotelowy ogród. W pozostałej części budynku znajdowało się wiele oryginalnych dzieł sztuki. Szkłane obrazy i artystyczne gobeliny sprawiały, że wnętrza zdawały się być jeszcze bardziej monumentalne, ozdobne, barwne.

– W tym hotelu gościło wiele znanych osobistości i radzieckich dostojników – poinformowała mnie Ola. – Niektórzy z przekąsem stwierdzają, że unosi się tu jeszcze duch komunizmu.

Ja tam żadnego ducha nie czułam, ani nie widziałam. Byłam za to oczarowana wnętrzami jak z filmu.

– A to słynny salonik Louisa Armstronga, jednego z najwybitniejszych trębaczy i muzyków jazzowych, który zatrzymał się w tym hotelu w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, podczas koncertu w Pradze. Wnętrze wyglądało imponująco z marmurowymi, szlachetnie żyłkowanymi brązowymi kolumnami. Ich zwieńczenia przywodziły na myśl zabytki starożytnego Rzymu. Na podium stał czarny, lśniący fortepian, a na jasnej ścianie widniały zdjęcia samego muzyka podświetlone dodatkowo światłem podłużnego kinkietu. Potem Ola opowiedziała mi historię pięcioramiennej, czerwonej gwiazdy zdobiącej iglicę budynku, która podczas remontu zaginęła w tajemniczych okolicznościach. Szybko dorobiono więc drugą, podobną, z tym, że teraz jest zielona.

Jednak najbardziej zainteresowały mnie informacje o schronie nuklearnym w podziemiach budynku. Uwielbiałam takie histo-

rie. Początkowo hotel miał służyć celom wojskowym, stąd budowa schronu na sześćset osób. Obecnie tego miejsca nie można było zwiedzać, gdyż mieściły się tam szatnie dla pracowników. Okazało się jednak, że są dwie możliwości wściubienia nosa w tajemne części tego ogromnego budynku. Pierwszy sposób to specjalnie zorganizowane wycieczki, z cyklu Praha Neznámá. Ola miała szczęście załapać się na taki wyjazd na drugim roku studiów. Studenci bohemistyki z Krakowa obejrzel podziemia, schrony i ich plany architektoniczne. Zajrzeli do dziwnych i niedostępnych zakamarków. Wysłuchali kilku miejskich legend. Pokazano im tajne kryptogramy ukryte w stiukowej dekoracji, które przemycali tu robotnicy budowlani. Robotnicy ci, w końcu jednak przestraszyli się swoich działań, więc woleli je częściowo zakamufłować. Drugą możliwością szczegółowego poznania tego miejsca było załapanie się na zwiedzanie podczas festiwalu Open House. Niestety, festiwal ten odbywa się raz w roku w maju, a teraz nastał już lipiec. Nie miałam możliwości zwiedzić więc podziemi, i musiałam zadowolić się tym, co opowiedziała mi Ola.

Nieco zmęczone zwiedzaniem obiektu, zdecydowałyśmy się zjeść coś w hotelowej restauracji. Posiłki, tak jak i cały pobyt, miałyśmy darmowe. Delektowałam się burgerem szefa kuchni i pieczonym kurczakiem z dodatkami. Były naprawdę niesamowite. Tego dnia wypłam swoje pierwsze piwo w Pradze. Bernard 11° z beczki. Svetlé, rzecz jasna, ponieważ takie lubię najbardziej. Po obiedzie podeszłyśmy na chwilę odświeżyć się do pokoju, aby następnie zejść do ogrodu. Usiadłam na ławeczce, podczas gdy Ola szukała znajomego ogrodnika o imieniu Martin. Podczas jej poprzedniej wizyty w Internationálu, szybko się zaprzyjaźnili. Facet miał ze czterdzieści pięć lat i sprawiał wrażenie luzaka, dopóki nie zaczął mówić o swojej pracy. Widać było, że jest ona dla niego wszystkim.

A, że Ola kochała wszelkie roślinki i miała do nich rękę, wymieniali się informacjami na temat uprawy, nawożenia i odmian. Przynajmniej tyle się dowiedziałam z połowicznego tłumaczenia Oli. Gadali ze sobą tak zawzięcie, że na polski tłumaczyła mi co piąte zdanie. Irytowała mnie moja nieznajomość języka czeskiego. Postanowiłam, że każdego dnia przyswoję sobie kilka nowych słówek. Ściągnęłam nawet na smartfona odpowiednią aplikację.

Ola przywiozła Martinowi z Polski jakieś rośliny, dla których przed wyjazdem musiała postarać się o specjalny paszport. Teraz gestykulowali zawzięcie, nie zwracając na mnie większej uwagi. Poza tym facet miał jeszcze jedną ważną dla Oli zaletę. Palił. Schowani za wielkim krzakiem palili papierosy i gawędzili zapamiętałe o świecie roślin. Przeszłam się więc sama po wielkim ogrodzie, a potem zamówiłam kolejne piwo.

Obserwowałam mieszkańców hotelu, którzy stanowili mieszankę wszelkich narodowości. Najwięcej było Europejczyków i Azjatów. Dzieciaki bawiły się na placu zabaw, pod okiem rodziców, a ja pograżałam się w marzeniach o magicznej Pradze. Ola zniknęła mi z pola widzenia. Potem jednak zobaczyłam, jak z ogrodnikiem wychodzą bocznym wyjściem z podziemi. Pokiwałam jej. Pożegnała Martina i ruszyła w moją stronę. Zamówiła wino, ponieważ piwa nie pijała w ogóle.

Nie omieszkalam wyrazić zdziwienia:

– Jak to możliwe, żeby bohemistka nie cierpiała piwa?

– Ha, ha – sarkastycznie roześmiała się Ola. – Ten temat już przerabialiśmy i to niejednokrotnie.

– Jak można nie lubić piwa? – To mi się po prostu nie mieściło w głowie.

– Jeśli będziesz mi dokuczać, przejdziemy na język czeski, zobaczysz! – zagroziła mi w żartach.

Po tej wymianie standardowych docinków, zajęłyśmy się wreszcie tym, co najważniejsze – planowaniem naszych wypraw po Pradze. Każda z nas nastawiona była na inny odbiór miasta. Olę interesowały głównie książki i ogrody. Mnie ciekawiło wszystko, oprócz zakurzonych bibliotek, antykwariatów i nudnych wycieczek po muzeach, gdzie wszystkie opisy są w języku czeskim. Interesowało mnie natomiast miasto – jego klimat, prawdziwy duch, zakazane dzielnice, kryminalne historie, dziwne legendy, muzeum erotyki, no i przede wszystkim piwiarnie i mini-browary.

Czy uda nam się to zgrać? Tym bardziej, że na prywatne przechadzki pozostaje nam tylko tydzień z czternastu dni pobytu. Co drugi dzień czekać nas miały literackie zagadki i wielki finał, jeśli staniemy na wysokości zadania. Odwróciłam się. Od pewnego czasu czułam bowiem na sobie palące spojrzenie. Zrobiłam to za późno, bo kiedy spojrzałam w tamtą stronę, obserwatora już nie było. Chłopaka w koszulce koloru bzu.

TAJEMNICZY DARCYŃCA PO RAZ PIERWSZY



Karel Toman śpiewa w radiu *A v ohni tancuje mé celé mláďi*.⁴ Moja młodość już się wytańczyła – myśli starszy pan. – W takim ogniu, że zdolna była spalić cały świat. Albo chociaż wypalić wielką dziurę papierosem w świątecznych spodniach. W kroku. Teraz tańczą mu tylko sztuczne skry na plastikowych węgielkach, w elektrycznym kominku (było mu zimno, zimniej z roku na rok, coraz zimniej).

– *Hra, scény beze slov...*⁵ – ciągnie dalej Toman. On za to nie pisał już żadnych scen, nawet takich bez słów. Ostatnią książkę wydał piętnaście lat temu. Od tego czasu czyta, słucha radia, i czasem tylko jeździ do Mariańskich Łaźni w towarzystwie opiekuna. Kobiety ogląda już tylko z daleka, nie musi chować wzroku, ponieważ jest dla nich niewidzialny. Starzec. Jeśli zawieszają wzrok to na jego wnuku, a Radim jest podobny do niego w młodości jak dwie krople piwa. Nawet w okularach, podobnych do tych dziadkowych, cholernie mu do twarzy. Wygląda jak intelektualista z duszą kobieciarza. I zapewne nim jest, jeśli wrodził się w swojego dziadka. Niestety, wiek to nie tylko liczba, a kto mówi i myśli inaczej – jest za młody, by to wiedzieć.

Przechodzi codziennie obok oszklonych półek z książkami. Kocha wszystkich swoich cichych towarzyszy. Niczego przy nich nie musi udawać. Ta cisza, ta przyjaźń jest kojąca.

⁴ I cała moja młodość tańczy w ogniu – tłum. autorki z j. czeskiego.

⁵ Gra, sceny bez słów – jw.

Sięga po książkę na chybił trafił. Trzyma w dłoniach Portret Doriana Greya. Oskar Wilde napisał tam: *Chcąc odzyskać młodość, trzeba tylko powtórzyć dawne szaleństwa.*

– Tylko, że ja nie mam już ochoty popełniać nowych szaleństw, a stare stały się dawno, dawno temu częścią mnie – mruczy pod nosem. – Ich echo dodatkowo niesie się poprzez karty moich książek. Nie za dużo więc byłoby tego szaleństwa?

W jego myślach Ernest Hemingway rzuca słowa na morze i wiatr: *Nikt nie powinien zostawać sam na starość, ale to nieuniknione.*

– Ale ja CHCĘ być sam! – Stary pisarz klóci się z jeszcze starszym od siebie (i martwym). – Za dużo ludzi było w moim życiu, zbyt wiele kobiet. Nawet teraz, żyją jeszcze w mojej głowie, jak klisze filmu wyświetlanego kolejny raz. Nie mogę się od nich opędzić, a przecież chyba już zauważyły, że jestem zamknięty w klasztorze o ścisłej regule: starość i wolność od wszystkiego. Chcę tylko wspominać i odpoczywać. Ale chyba to drugie bardziej. Niech się więc już wreszcie wszystkie ode mnie odczepią. Pokręcił się po pokoju, aż zmęczył się, otworzył okno, usiadł i przetaił okulary.

Potem znów wyruszył na wędrowkę wzdłuż oszklonych pólek. I coś takiego wyczytał u Niny George w Lawendowym pokoju: *Starość to nie choroba. Wszyscy się starzejemy, książki także.*

– Co mnie podkusiło, żeby czytać taką książkę? – zapytuje sam siebie z niesmakiem, zastanawiając się równocześnie, skąd ona się tu wzięła. Pewnie była prezentem, ale zapomniał od kogo. A potem sparafrazował to na swój cyniczny sposób:

– Kochana! – Próbuje spierać się z autorką, ale już bez tej zawziętości, co jeszcze kilka lat temu przy podobnych okazjach.

– Do starości lubią przyczepiać się choroby. My się starzejemy, książki tylko coraz bardziej zarastają kurzem. Chyba to brzmi lepiej, prawda? Bardziej prawdziwie.

Nina George milczy, a starszy pan w bonżurce koloru cappuccino, nalewa sobie piwa z lodówki. Bardziej niż tu, w tym ciemnym, zakurzonym pokoju, żyje w swoich książkach, w swojej legendzie.

I wtedy właśnie wpada na pomysł literackich zagadek.

CZŁOWIEK, KTÓREGO NIE BYŁO

„Pewnego razu uśmiechnęła się do mnie nieznajoma dziewczyna. Miała w ustach złamaną różyczkę już na wpół zwiędłą i szeptała coś moim oczom.”



Jaroslav Seifert, Brama Prochowa

Dzień dobry, moja droga! Czy my się znamy? O tak! Ja znam Ciebie z drugiej ręki, a Ty mnie z moich książek. Przepraszam, że tak od razu mówię na ty, ale jest między nami tak kosmiczna różnica wieku, że to już wypada i nie trąci niczym nagannym, podejrzanym czy niezgodnym z prawem.”

Kiedy Ola dostała ten list, zdziwiła się niepomniernie. Był niesamowicie fikuśnie zapakowany, w błękitnej kopercie, na pięknej papeterii z ręcznie czerpanego papieru. List napisany był po czesku i miał stempel z Pragi. Na początku myślała, że to żart, albo, że jakiś zboczeniec próbuje ją podrywać w nietypowy sposób. Ola miała coś takiego w sobie, że przyciągała wszelkiej maści świrów i dziwaków.

Nie wiadomo dlaczego, była przecież najbardziej logicznie myślącą i zrównoważoną dziewczyną, jaką znałam. Tylko do facetów nie miała szczęścia, ale o tym później. Gdy więc znalazła tajemniczy list w swojej skrzynce, najpierw się zdziwiła, potem go przeczytała, a następnie przybiegła do mnie. Zawsze byliśmy sobie bardzo bliskie. Poza tym łączyły nas więzy krwi.

„Ale do rzeczy. Wiem, że studiujesz bohemistykę na UJ w Krakowie. Jesteś najlepszą studentką na roku, gratuluję. Kochasz czeską literaturę, a tak się składa, że ja także. Mało tego, ja ją współtworzę. I, nieskromnie mówiąc, jestem dość znanym pisarzem w moim kraju i rodzinnym mieście – Pradze.”

– Wiesz kim on jest? – zapytałam, ale Ola przecząco pokręciła głową. List pisany był na komputerze, wysmakowaną czcionką, naśladowującą eleganckie, kaligraficzne pismo.

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiedziała Ola, zastanawiając się przez cały czas, kto to może być. – Gdyby tylko tekst był napisany ręcznie.

Analizowała użyte przez pisarza słowa, składnię, styl. Nikt konkretny nie przychodził jej jednak do głowy. Za mało było danych w tak krótkim liście.

„Jestem już stary, przeżyty i wypisany. Mam jednak ochotę, po raz ostatni, być może, pobawić się literaturą. Kochasz zabawę, tajemnice i książkowe szarady? Bo ja tak. Proponuję Ci więc grę w zagadki literackie.

Nazwałem ją Labiryntem. Określiłem czas, przedmiot i miejsce akcji. Mam nadzieję, że przyjmiesz wyzwanie i po moich śladach, jak po sznurach niezliczonych liter, odważysz się wejść do tajemnego Labiryntu. Miejsce – Praga. Przedmiot – literatura. Czas – dwa tygodnie (tydzień na rozwiązywanie zagadek, drugi tydzień – robienie tego, na co ma się największą ochotę). Możesz nazywać mnie TD (Tajemniczym Darczyńcą), ponieważ to ja sfinansuję, z przyjemnością, Wasz przyjazd. Wasz, bo przecież samej nie tak przyjemnie, jak we dwie. A jeśli ta druga osoba jeszcze lubi piwo... Wiesz, że na Czechy mówią czasem Piwostan? Obiecuję, że będziecie obie z Paulą świetnie bawić się w Pradze. Zaplanowałem sześć zagadek i siódmą na deser. Jeśli zdołasz je rozwiązać i wskazać o których z praskich pisarzy chodzi, wygrasz nagrodę główną. Wygramy ją razem. Ostatnim

krokiem w Labiryncie jest bowiem osobiste spotkanie ze sławnym pisarzem. Ze mną!

Szukaj w Pradze znaków, w tym wielkim Labiryncie literatury. Idź za nimi, dedukuj, patrz, uważnie obserwuj świat. Najczęściej prawda tkwi w szczególe. Odkryj nazwiska sześciu pisarzy. Siódmym będę ja. Już cieszę się na nasze spotkanie. Na razie proponuję kontakt internetowy.

Odpowiedzi ślij na adres: spisovatel.hádanky@seznam.cz.

‘Ład tego, co z góry zaplanowane i łatwe do przeniknięcia, jest nudny i fałszywy, z prawdziwym ładem spotykamy się w Labiryncie’ TD.”

– Ajvaz! – wykrzyknęła Ola. – Michal Ajvaz.

– Co? – zdziwiłam się. – Już odgadłaś, kto stoi za Labiryntem?

– Te słowa na końcu, o labiryncie – jąkała podniecona Ola. – Napisał je Ajvaz, mój ukochany praski pisarz i poeta.

– Myślisz, że to on zaprasza nas do Pragi? Bo chyba chodziło mu też o mnie, tylko skąd on nas zna?

– Tak bardzo chciałabym, żeby to był on. Nie masz nawet pojęcia!

Miałam. Na zasadnicze pytania jednak, żadna z nas nie znalazła odpowiedzi. Bilety były załączone w kopercie. Rezerwacja apartamentu w hotelu International, w pierwszych tygodniach lipca, także. Wszystko opłacone z góry. Do tego dodany pliczek banknotów na drobne wydatki. Czy mogłyśmy nie przyjąć wyzwania? Miesiąc po obronie naszych prac magisterskich wyruszyłyśmy na spotkanie przygodzie.

Śniadanie było przepyszne. Na szczęście ani Ola, ani ja, nie mamy tendencji do tycia i oby tak pozostało. Szwedzki stół to pułapka. Jest tyle rzeczy do wyboru, więc jesz ile chcesz, a jak

już spróbujesz wszystkiego – nie możesz się ruszyć. Ale warto było. Małeńkie kanapeczki z pokrojonej w poprzek bagietki, zwane tu chlebičky, piętrzyły się na białych talerzykach. Naliczyliśmy kilka różnych smaków.

Najlepsze były te z łososiem. Świeże i chrupiące. Był też wspaśniały wybór rozmaitych serów, doskonałe wędliny, jajecznica, kawa oraz herbaty różnego rodzaju. Jakieś przekąski, mięsne i wegetariańskie. Płatki z mlekiem, z jogurtem. Dżemy. Co kto chciał. Nieziemsko objedzone popijałyśmy drugą kawę, kiedy zauważyłam, że coś wystaje spod serwetki. Wcześniej tego nie było.

– Co to? – zainteresowała się Ola. – Jakiś folder, czy menu?

Sięgnęła po cienką, kolorową książeczkę.

– Moja droga! – wyrecytowała uroczystym tonem. – Wydaje mi się, że złapałyśmy trop.

– Cudnie! – Ucieszyłam się z tego odkrycia, jednak byłam pewna, że w momencie, kiedy zajmowałyśmy stolik, tego tu nie było. Rozejrzałam się dyskretnie po sali. Może uda mi się wypatrzyć osobę, która to podłożyła? Wtem ujrzałam plecy. Przodem do okna siedział chłopak w koszulce koloru bzu. Nie widział mnie, przyglądał się teraz soczystej zieleni za szybą.

– Zaczynam mieć obsesję – pomyślałam, decydując jednocześnie, że nic nie powiem Oli. Po co psuć jej dobrą zabawę? Facet mieszka w hotelu, to i śniadanie tu je. Gdzie ma jeść, jak nie w hotelowej restauracji? – Uspokajałam samą siebie.

Jednak cały czas miałam z tyłu głowy fakt, że wcześniej komiksu pod serwetką nie było. Musiał pojawić się w momencie, gdy z talerzami krążyłyśmy wokół szwedzkich stołów, komponując menu. Gapy z nas, że nie spostrzegłyśmy nikogo. Byłyśmy skupione na sobie. Twarz Oli, zarumieniona od tłumionych emocji, wyrażała ciekawość i zdumienie.

- Zobacz Paula. Komiks. Niesamowite!
- Wzięłam książeczkę do ręki. Przekartkowałam. Było tam więcej obrazków, niż słów.
- Myślisz, że to nasze pierwsze zadanie? – zapytała Ola, przełykając pospiesznie swoją kawę.
- Diabli wiedzą – wypaliłam. – Jakiś dziwny ten komiks!
- To chyba nie jest zwykła, rysunkowa opowieść. – Ola przyglądała się dziwacznym rysunkom, próbując znaleźć w nich jakikolwiek sens.
- Połóż na stół – rozkazałam. – Rozłóż strony, przyjrzymy się obie tym dziwolągom.

Na jednej z pierwszych ilustracji, po zielonej łące biegał koń w kapeluszu. Wybuchłam śmiechem.

– Ciszey, moja droga, bo wszyscy się na nas gapią...

Cała Ola. Dama w każdym calu. Ułożona dziewczynka. Tak naprawdę nikt nie patrzył w naszą stronę. Ludzie zajęci byli sobą i swoimi sprawami.

– Mamy zagadkę. Pal lichu dobre maniery! – krzyknęłam podekscytowana, odwracając niecierpliwie kolejną kartkę.

– Gwint od żarówki? – przekrzywiła głowę Ola. – Co to ma być?

– Żeby to ja wiedziała?

Przyjrzałam się bliżej obrazkowi. Gwint zajmował centralną część rysunku. Wkomponowany był ni w pięć, ni w dziesięć, w jakiś gąszcz listowia.

– O co tu może chodzić? – Ola skupiona analizowała każdy detal, każdą kreskę.

– Chodź, obejrzymy resztę, to może na koniec ujrzymy jakiś wzór? – zaproponowałam.

Reszta była jeszcze dziwniejsza. Na kolejnym obrazku bowiem, znajdował się dentysta przy pracy. Pacjent z rozdziawioną gębą siedział na fotelu tortur, a stomatolog trzymał wiertło.

- Jesteś pewna, że te dziwne rysunki prowadzą do jakiegoś praskiego pisarza? – zapytałam Olę.
- Nie wiem – odparła zamyślona. – Daj mi trochę czasu. Zastanawiam się w jakich powieściach pojawia się dentysta.

Ludzie wchodzili do restauracji głodni i wychodzili najedzeni. Z ukrytych głośników sączyła się delikatna, nienachalna muzyka, a my siedziałyśmy przy pustym już stoliku i gapiłyśmy się tępo w komikсового dentystę. Teraz Ola parsknęła śmiechem.

– Spójrz! – Wskazała kolejną stronę rozbawionym wzrokiem. – Kolejna lekarska zagadka.

Rzuciłam okiem na zadrukowaną kartę. Oczom moim ukazał się tak zwany samolot, czyli fotel ginekologiczny. Zasłaniał go częściowo mężczyzna w białym fartuchu tak, że spoza kadru widać było tylko rozłożone nogi badanej pacjentki.

– A jednak zbok? – zapytałam ze śmiechem.

– Hi, hi, chyba masz rację. Zbok, nikt inny.

– Albo to wcale nie jest nasza zagadka – zasugerowałam. – Może jakiś domorośły artysta próbował swoich sił i rysował wszystko, co wpadło mu do głowy. A potem zostawił swoje dzieło i odkryliśmy je my.

– Hmmm – zamruczała Ola. – Komiks wygląda na drukowany. Może to reklamówka z jakiegoś tutejszego wernisażu? Tylko, że nie ma tutaj żadnego nazwiska twórcy. Dziwne...

Nasze zdziwienie nie miało końca, ponieważ na kolejnej stronie szczyrzyła się sztuczna szczeka.

– Znów jakiś dentystyczny detal? Nie chcę myśleć, jaki szczegół ze sfery ginekologicznej czaić się może na kolejnej stronie.

Zarżałam jak ten koń w kapeluszu, opluwając resztą kawy jasną serwetkę.

– Może to Kafka?

– Co kawka? No sorki, to ze śmiechu! – Broniałam się, wycierając zawzięcie nieusuwalne plamy.

– Dziewczyno! – Ola przywołała mnie do porządku. – Nie kawka, tylko Kafka. Franz Kafka. Chyba słyszałaś o nim, moja droga?

Zapytała takim tonem, jakbym miała zamiar jeść kraba na obiedzie u królowej palcami, zamiast używać srebrnych widelczyków. Po czym położyła palec na obrazku przedstawiającym wielkiego karalucha w pułapce na myszy.

– Chyba zwymiotuję – wyjąkałam. – To przestaje być zabawne.

– Tak. – Ola kiwała głową. – Pewnie chodzi o Przemianę.

– Myszy w karalucha? – zapytałam zdziwiona.

– Nie, o utwór literacki. Franz Kafka napisał opowiadanie pod tytułem Przemiana.

Następnie zrobiła mi mały wykład z pogranicza literatury i zoologii:

– Bohaterem tego opowiadania jest mężczyzna, który pewnego dnia budzi się, jako wielki, potworny robal. Zmienia to całe jego życie. Nie może normalnie funkcjonować, chodzić do pracy, kontaktować się z innymi ludźmi. Jako insekt nie może nawet samodzielnie opuścić łóżka. Rodzina zamyka go, trzyma w ukryciu. Gregor, bo tak ma na imię, traci pracę i nadzieję na przyszłość. To jednak nie koniec.

– Faj! – wzdrygnęłam się z obrzydzenia. – Co jeszcze gorszego może się przydarzyć?

Od maleńkości brzydziłam się wszelkiego robactwa. Myszy i szczury nie robiły na mnie żadnego wrażenia, natomiast robale – tak. Nawet patrząc na samo zdjęcie robaka, długo strząsałam z siebie wyimaginowane stada owadów i ich chrzęszczących odnóży. Ola kontynuowała swoją opowieść. Czułam, że złapała trop:

– Członkowie jego rodziny, którzy do tej pory pozostawali na jego utrzymaniu, teraz nagle musieli pracować, żeby utrzymać siebie i jego.

Nie bardzo im się to spodobało. A na koniec prawie kryminał, czyli to, co Paula lubi najbardziej – zawiesiła głos czekając wyraźnie na moją reakcję.

– Rozdeptują go kapciem? – Próbowałam się domyślić dalszego ciągu opowieści, bo przecież nie czytałam ani Przemiany, ani żadnych innych dzieł Franza Kafki.

– Nie. Opowiadanie kończy się śmiercią Gregora, którego ta przemiana całkowicie odizolowała od świata i ludzi. To taka przenośnia, wiesz? Opowieść o wyobcowaniu jednostki.

Nie podobała mi się ta historia. Myślałam, że Czesi piszą zawsze coś śmiesznego, a to było po prostu niezrozumiałe i obrzydliwe.

– Mam nadzieję, że ten Kafka nie jest naszym Tajemniczym Darczyńcą?

– Moja droga! On nie żyje od tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego.

Odetchnęłam z dużą ulgą. Żadnych robali! Kolejne rysunki w komiksie przedstawiały szczotkę do czyszczenia krawata i męski, nieprzemakalny nocnik podróżny. Nasze oczy robiły się coraz większe ze zdziwienia. Takiego zestawu absurdów jeszcze nie spotkałyśmy. To znaczy ja, bo Ola chyba zaczynała wpadać na jakiś pomysł. Marszczyła nosek, uciskała mnie próbując się skupić, zamierała na kilka minut, szukając rozwiązania na stronach dziwaczного komiksu i w zakamarkach swojego umysłu. Siedziałam cicho, bo i tak nie umiałam pomóc. Kawa już wystygła, lecz nie odważyłam się nalać kolejnej. Zresztą od tych rewelacji ciśnienie podskoczyło mi tak, że nie potrzebowałam sobie jeszcze do tego dodawać kofeiny. Ola przełożyła ostatnią stronę. Widniała na niej knajpa z napisem po czesku i wielkim pajakiem wymalowanym nad drzwiami.

Znów te insekty! To jakaś chora obsesja, czy co?

– Zobacz! – Wskazała palcem napis. – Tu jest napisane: Bezałkoholowa winiarnia Pod Pajakiem w Pradze.

Nagle stuknęła się dłonią w czoło.

– Już wiem! – Ola podniosła głos tak, że młode małżeństwo, z umazanym dwuletnim chłopczykiem, spojrzało na nią, jak na głupią. Nie zwróciłyśmy jednak na nich większej uwagi. Tajemnicza zagadka odcięła nas od realnego świata. – Takie nagromadzenie dziwacznych skojarzeń, może oznaczać tylko jedno.

– Teatralnie zawiesiła głos.

– Ola, do cholery! Czekasz na oklaski? Powiesz mi wreszcie, o co tu chodzi, czy nie?

– Dobrze, powiem ci. Chodzi o człowieka, którego nigdy nie było.

Skrzywiłam się, jakbym wypila sok z cytryny.

– Zabiję cię – syknęłam łapiąc ją za rękę. – Gadasz, czy nie?

– Naszemu Tajemniczemu Darczyńcy chodziło o największego czeskiego geniusza. Człowieka wielu talentów i zawodów. Wy-
nalazcę, dramaturga, filozofa, dentystę, architekta, ginekologa-samouka, kryminologa, sportowca i pedagoga. Człowieka, po którym nie pozostał żaden materialny wizerunek, ponieważ dla zasady niszczył wszystkie swoje zdjęcia i dokumenty.

– To jakieś żarty? Powiedz, że robisz mnie w konia.

– Czesi mają specyficzne poczucie humoru. Wymyślili sobie idealnego bohatera narodowego, który, gdyby tylko nie był postacią fikcyjną, najprawdopodobniej zwyciężyłby w głosowaniu na Czecha Roku 2005.

– No dobrze, ale co to ma do pisania? – dopytywałam zdziwiona. – I do czeskich, a raczej praskich pisarzy? Jesteś pewna, że chodzi o niego?

– Tak, ponieważ Jára Cimrman stanowi wytwór wyobraźni dwóch czeskich pisarzy: Ladislava Smoljaka i Zdenka Svěráka.

– Wiesz – podsumowałam. – Dziwna jest czeska mentalność i literatura.

Osobiście wolę czeskie piwo. Naprawdę. Ola wskazała na tylną okładkę. Widniał tam napis, wydrukowany mniejszą czcionką:

Dykova 14, Vinochrady.

– Teraz jestem pewna na sto procent – podsumowała dumna z siebie Ola. – To nasz dzisiejszy kierunek. Budynek z wmurowaną tablicą ku czci Járy Cimrmana.

– Moja droga! Zagadka rozwiązana. Bierzemy aparat fotograficzny i na Vinochrady!

Pogoda była cudowna, a dzień wymarzony na spacer po Pradze.

– Wiesz co? Idź dalej, ja cię dogonię – powiedziałam do Oli.

– Co się stało? – zapytała zdziwiona. – Mogłaś mówić, że nie chcesz oglądać tej tablicy.

– Nie o to chodzi. Zaraz do ciebie dojdę. Wejdę tylko na chwilkę do drogerii.

– Może iść z tobą?

– Nie, nie trzeba. To sklep samoobsługowy. Niczego nie muszę nazywać, na szczęście. Kupuję, płacę i wychodzę.

Nie chciałam, żeby weszła tam ze mną. Zauważyłam bowiem na wystawie perfumy, o których Ola marzyła od dawna. Pomyślałam sobie, że będę miała dla niej idealny prezent urodzinowy. I to już niedługo...

– Jasne. Pamiętasz adres?

– Tak. Dykova czternaście – przytaknęłam.

– To niedaleko. Na razie!

Po wyjściu ze sklepu poczułam, że muszę się trochę odświeżyć. Weszłam do jakiegoś baru. Bez problemu znalazłam toaletę. Umyłam sobie ręce i twarz, ochłodziłam się zimną wodą, bo upał był nieznosny, poprawiłam makijaż i ruszyłam na spotkanie z czeskim geniuszem. Przypomniłam sobie, co Ola mówiła o podobnej tablicy upamiętniającej Járe Cimrmana, ale nie w Pradze, tylko w Brnie. Umieszczono na niej napis, informu-